

JACEK BOCHEŃSKI

BRZEŚĆ — miasto trochę nieoczekiwane

NOTATKI Z PODRÓŻY PO ZSRR (2)

Zanim wyszliśmy na miasto, zauważyłem następujące rzeczy: bukiety, które wręczono nam na dworcu, były wielkie i ciężkie, natomiast przemówienia krótkie. Dworzec okazał się bardzo starannie utrzymany, wyświeżony i nad podziw czysty. Poczekalnia ogólna dla pasażerów zaprzeczyła wszystkim w moim dotychczasowym wyobrażeniu o poczekalniach dworcowych. Do tej pory bowiem przyjmowałem jako fakt naturalny, iż poczekalnia musi być miejscem ostatecznego poniżenia człowieka: muszą tam głęboko sponiewierane, nieogolone brudzący się po kątach, spać na ławach albo na podłodze i cierpliwie przeżywać swe upodlenie. Tymczasem w Brześciu poczekalnia przypomina świetlicę, kasyno, może czytelnię, ale nie miejsce udręki, do czego zgodnie z moim dotychczasowym doświadczeniem wszystkie poczekalnie świata są przeznaczone. Nie jest zresztą ważne, jak pomyślano urządzenia dworcowe, ważne jest, jak ich ludzie używają. Otóż w Brześciu tłum przygodnych podróźników zachowywał się kulturalnie. Nie poszczególne jednostki, ale tłum jako całość miał potrzebę takiego kulturalnego zachowania z wyjątkiem Niemowląt, które w specjalnej sali dla matek z dziećmi darty się w niebogłosy. Na podłodze, na peronach i na stołach nie było podartych gazet, rozlanego piwa, ogryzków, niedopałków ani żadnych innych śmieci. Przypuszczam, że Polacy, którzy pamiętają Brześć — powiedzmy — sprzed lat dwudziestu, zachowali nieco inne wspomnienia z dworca. Przypuszczam, że również uciwiele, że w Brześciu rozpoczęła się likwidacja mojego doświadczenia uprzedzenia co do stanu czystości w Związku Radzieckim. Byłem przed wyjazdem wewnętrznie przygotowany na to, że z czystością może być rozmaicie, bo tak jakoś wynikało ze starych opowieści o Rosji carskiej i z różnych innych przesłanek tkwiących w mojej wyobraźni. A to pierwszym uderzającym zjawiskiem po przekroczeniu granicy stała się czystość budynków, ulic, ludzi, czystość nie znana niestety w Polsce, zgola zaskakująca.

Cóż jeszcze zdażyłem zauważyć, zanim wyszliśmy na miasto? Proszę wybaczyć, że przekazuję obserwacje drobne, dotyczące rzeczy, które mogą nie mieć znaczenia. Wydało mi się, że ludzie noszą o buwie dopiero co zakupione w sklepach, ponieważ bardzo migotało białymi podszewkami z gumy indyjskiej, złotym, niemal kremowym kolorem skóry, a także płótnem barwem mlecznym (płóciennę, lekkie pantofle męskie są tam popularne). Spostrzeżłem inny krąg spodni: nogawki były szersze od naszych. Nikt nie niósł tobołów, żadnych ciężarów zawiniętych w brudne szmaty, bagaż składał się na ogół z walizek. Wśród podróźnych przeważały twarze robotnicze, nawet — powiedziałbym — chłopskie. Dominujący typ fizyczny kobiety: blondyna o krzepkiej budowie, tęga, ale nie otyła, po prostu, taka, o której się mówi, że zdrowo wygląda. Wszystkie kobiety w poczekalniach. Dlaczego? Dlatego, że bez pończoch żadna z domu nie wyjdzie: to już kwestia mody i powszechnego upodobania. Tragarze na dworcu — w krótkich białych fartuchach.

Po uroczystości powitania na peronie i po dokonaniu pobieżnych obserwacji, których rezultaty wyżej przytoczyłem, wsiedliśmy do wytwornych ZIS-ów i udaliśmy się na śniadanie. Podejmował nas w jednej z brzeskich restauracji przewodniczący Rady Miejskiej. Nazwisko zapamiętałem: Dragun. Chociaż później wypadło mi jeszcze uczestniczyć w wielu przyjęciach bardziej wystawnych i konwencjonalnych, opiszę jednak pierwsze z Brześcia. Była to dziwna mieszanina ceremonialności i swobody. Tak u nas nikogo nie przyjmują, tak nie piją i nie przemawiają. Chwilami zdawało mi się, że jestem na uroczystej akademii, chwilami, że na chłopskim weselu, a od czasu do czasu czulem się, jak gdybym gdzieś po północy, zamknięty w czterech ścianach stuchał wywnętrzeń zaufanego przyjaciela. Tacy właśnie są Rosjanie w stosunkach towarzyskich. Atmosfera, którą stwarzają swym sposobem bycia, zawiera trzy różne elementy: patosu, żartu i głębokiej wylewności. Wszystko to świetnie godzi się ze sobą, a brak w tym tylko jednej, dobrej nam znanej składnady cechy spotkań towarzyskich, mianowicie chłodnej uprzejmości.

Przewodniczący Rady Miejskiej w Brześciu nie należy do ułomków. Jest to męczyzna barczysty i zażywny, o twarzy szerokiej, naturze zaś kordialnej. Usadziwszy nas za stołem pełnym ryb, mięsa, trunków i słodczy, opowiadał na początek historię o dwu żołnierzach, polskim i radzieckim. Rzecz działa się na froncie, jeden żołnierz był ranny, a drugi wyniósł go na barkach z pola walki. Wydało mi się, że słyszę zmyśloną na poczekaniu powiastkę o charakterze symboliczno — alegorycznym i o poziomie literackim raczej miernym. Mówca zaczął słowami „pewnego razu zdarzył się wypadek”, a skończył „wypiliśmy za nasze braterstwo”. Następnie rzucił kilka dowcipów w związku z sytuacją w kieliskach, roześmiał się od ucha do ucha i raptem na nowo spowa-

zniał. Okazało się, że jednak jego opowiadanie nie było zmyśloną powiastką. Mówił: „Takie wypadki widziałem w sprawach takich uczestniczyłem, znam Warszawę, byłem przez pewien czas komendantem wojskowym tego miasta, serce drży, kiedy wspominam tamte czasy. Na froncie walczyliśmy w ciężkich warunkach. Teraz my tu wszyscy — eleganci, siedzimy przy białym obrusie i pijamy wino. Ale wtedy, na wojnie — ot, brzytwę na przykład nie było. Żołnierze brali butelki, rozbijali je o kamień i golili się odłamiakami szkła”. Gdy Dragun opowiadał, widziałem, że porachunki z losem żołnierskim tkwią głęboko w jego psychice. Podniecał się i wzruszał wspomnieniami, uśmiechał do nich trochę rzewnie, a trochę gorzko. Mówił wiele o latach wojny, o bitwach i marszu przez Polskę. Raz po raz przeplatał gawędę żartami, później wstawał, wznosił uroczyste toasty i ruszał w obchód naokoło stołu, aby upewnić się, czy wszyscy wypili, przy czym kontrola była surowa i nie pobrażano nikomu.

W pewnym momencie spojrzawszy na siebie, ponieważ wydało mi się, że słyszę szepty i szelesty. Rzeczywiście w przejściu na korytarz i do kuchni stała ukryta nieco za portiera grupa kelnerów. Poruszenie w tym towarzystwie panowało niesłychane. Siomianowosie dziewczęta z bufiastymi rekawami, w opiętych fartuszkach, szerokich spodnicach i białych czepkach — nie spuszczały z nas oka. Chyba wszystko było dla nich ciekawe: polska mowa, nasze twarze, zachowanie, ubiór. Ale nie obserwowały nas jak zbiegowisko gapiów. Wzbudziłyśmy może pewną sensację, lecz te dziewczyny wydawały się przejęte z jakiegoś szczególnego powodu. Były wzruszone, ponieważ dosłyszałem westchnienia, pociąganie nosem i zobaczyłem, że tu i ówdzie znalazły się w robocie chusteczki.

Tymczasem Dragun przystąpił do najciekawszej części swego opowiadania. Zaczął mianowicie rozpamiętywać okres, kiedy wojna była skończona, ale żołnierze radzieccy wciąż jeszcze ginęli między Odrą a Bugiem. Mówił o sytuacji naszego kraju w latach 1945—46. Wspominał bandy w lasach, dywersję PSL-owska, skomplikowane stosunki polityczne wówczas panujące. Przedstawiał swoją trudną pozycję w tym czasie. „Mielismy — mówił — wyraźne instrukcje władz radzieckich, nie mieliśmy prawa mieszać się w wewnętrzne sprawy Polski, ale czy mieliśmy prawo biernie przyglądać

się przelewanej krwi naszych towarzyszy, Polaków i żołnierzy radzieckich? Tego prawa też nie mieliśmy. A czy wolno nam było jako internacjonalistom uznać, że nie obchodzi nas przyszły los narodu polskiego? Los polskiej rewolucji? Trudno więc było wtedy podejmować decyzje, nie mylić się w polityce, a co dzień, niemal o godzinie stawaliśmy wobec takich problemów”.

Przyznam się, że zwierzenia Draguna odczułem jako nową niespodziankę. Tymi zwierzeniami pozyskał on moją osobliwą sympatię, jeśli się nawet nie dość dokładnie orientowałem w szczegółach dotyczących naszego życia politycznego z lat 1945—46. Piszę o tym, ponieważ kilku towarzyszy zgłosiło pewne szczegółowe zastrzeżenia do wynurzeń Draguna. Ale trzeba dostrzec istotę rzeczy. Ja widziałem w gościnnym pułkowniku nie eksperta spraw polskich, lecz po prostu człowieka radzieckiego rozmawiającego z Polakami o polityce, występującego bądź co bądź w roli oficjalnej i mówiącego bardzo szczerze, zwierającego nam to, co przeżywał i myślał. Chyba tak powinni rozmawiać przyjaciele. Ciekawe, że ten człowiek nie unikał bynajmniej tak zwanych drażliwych problemów, których przestraszyby się niejedni polski pułkownicy. Jeśli po tym wszystkim Dragun powiedział: „ciebie się, że dziś po dziesięciu latach jest taka Polska Ludowa, jaka jest, że wyszycie tu przyjechał i że mogę z wami mówić”, wyznanie to zawierało treść przekonywującą. Gdyby natomiast Dragun ograniczył się tylko do tych słów i przez godzinę powtarzał je w różnych wariantach, mowa jego byłaby pustą frazeologią. Stąd również wypływa pewien wniosek dla ludzi piszących, zajmujących się sztuką przekonywania.

Ale oto śniadanie dobiega końca. Nikt już właściwie nie siedzi: zaczyna już się elementy „chłopskiego wesela”. Rosłanie proszą o muzykę, Stanisław Ryszard Dobrowolski z wielką celebrą przepija do pisarza białoruskiego Plestraka. Zawarte zostały osobiste przyjaźnie, panuje ogólna wesołość, a spożycie wszystkich potraw, które postawiono na stole, przerasta siły człowieka. Gospodarze proponują przechadzkę po mieście, ponieważ czasu wiele: odjeżdżamy z Brześcia dopiero wieczorem.

Co zobaczyliśmy w mieście? Przede wszystkim biel. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że jest to cecha miast radzieckich: one ma-

ją ten kolor. Po drugie — inny sposób zagospodarowania aniżeli praktykowany po polskiej stronie Bugu, w odległości niewiele kilometrów. My nie umiemy do tego stopnia porządkować miast, nie staramy się ich tak upiększać, tak bardzo stroić, czyścić, malować, obwieścić obrazami, zapełniać rzeźbami, nasi ludzie po prostu nie odczuwają takich potrzeb. Bo objawy, o których mówię, nie wynikają jedynie z inicjatywy — powiedzmy — administracyjnej. Nie sam Gorskowit nadał Brześciowi specyficzny, nowy charakter. Tam mieszkają inni ludzie i w urządzeniu miasta, w jakichś drobnych szczegółach, w wyglądzie skwerów, w barwie płotów czy sztyłów wyczuwa się ich upodobania i codzienną pracę.

Nie byłem nigdy w Brześciu przed wojną, miasta nie znam, zdziwiłem się, że jego ludność wynosi około 100 tysięcy mieszkańców. Ale bez trudności rozpoznawałem budynki wzniecone — jak powiadają gospodarze — „za władzy radzieckiej” i postawione wcześniej. Orientowałem się — rzecz prosta — po kształcie architektonicznym. Władza radziecka energicznie opiekuje się Brześciem. Warto tu wspomnieć nie tylko o nowych domach, lecz również o tym, że na przykład bołączkę Brześcia stanowi woda nieodpowiednia do picia z uwagi na zbyt wielką zawartość żelaza. Obecnie buduje się urządzenia, które będą chemicznie oczyszczać tę wodę z nadmiaru żelazianów. Mówił o tym Dragun, zaprowadził nas nawet na budowę filtrów, aby inżynierowie i robotnicy wyluszczyli nam dokładnie, o co chodzi. Były to zrozumiałe ambicje ojca miasta.

W Brześciu można rozmówić się po polsku. Poza Rosjanami przybyłymi z okolic odległych mieszkają tu Białorusini, stanowiący prawdopodobnie w znacznej części element napływowy ze wsł. Ludzie ci dobrze znają język polski. Na terenach narodowościowo mieszanych

kojarzyły się przecież kiedyś małżeństwa polsko — białoruskie i pewne pokrewieństwa pozostały do dzisiaj. Kto wie, czy z takich jakichś motywów nie wynikał szczególnie sentyment, który zobaczyłem w oczach kelnerów podczas śniadania. Istnieją w każdym razie dobre tradycje współżycia prostych ludzi, Polaków i Białorusinów. Ponadto w Brześciu mieszka niewątpliwie trochę Polaków, którzy nie repatriowali się do Polski.

Obraz Brześcia nie byłby w moim pocuciu wierny, gdybym nie uzupełnił rysunku... dźwiękiem. Dźwięku tego nawet zrazu nie zauważyłem. Ale po powrocie z miasta usiedliśmy w poczekalni. Nie w tej ogólnej, która mi się podobała, lecz w specjalnie urządzonej przez „Inturist” dla pasażerów zagranicznych, o wiele mniej sympatycznej (co polecam pod rozważę ludziom twierdzącym, że w Związku Radzieckim wszystko robi się na pokaz). Otóż dopiero tam w tej poczekalni uświadomiłem sobie, że od dawna słyszę muzykę. Okno było otwarte. Z pobliskiego megalonu wydobywały się nieprzerwanie rzewne ruskie melodie, fałszywe chóry ludowych, bandury i sopranu, jakże stepowe, kozackie, „krasawica maja”. To jest też charakterystyczna cecha: upiększanie życia muzyką. Głośników słyszy się wiele, a już na dworcu — zawsze. Poza tym na ulicach, w parkach, we wszelkich miejscach publicznych. A teraz zestawcie sobie te głośniki, te białe domy, białe rzeźby wyobrażające młodych sportowców, białe popiersia Lenina i Stalina, malowidła na ścianach, ludzi w nowym obuwu i szerokich spodniach, wielkie kamienne kosze na śmiecie, pedantyczną czystość ulicy, kelnerki w bufiastych rekawach, czarne, luksusowe ZIS-y na przedwojennych „kociach łbach”, zestawie to wszystko i dowiecie się, co wynosi z Brześcia człowiek, który spędził tam kilka godzin.

(dalszy ciąg nastąpi)

Po koncercie

TYMCZASEM

Niezbyt dawno jeden z krytyków muzycznych zapłacił się w cichą polemikę. Rzecz dokonała się drogą pocztową — poza polem chwały „Listów do redakcji”. Temat jednak „był interesujący: czy radio, taśma, płyta potrafią zastąpić bezpośrednie spotkanie ze sztuką muzyczną? Krytyk podejrzewał, że nie — inni podejrzewali go o złą wolę. Czy słusznie?

Radio, taśma, płyta — zawdzięczam im piękne wrażenia. Technika reprodukcji doszła już do tego, że potrafi „poprawiać” co średniejszych wykonawców, nikłym głosem dodawać carusowskich skrzydeł. Poza tym... — poza tym nie ma sensu wyliczać innych zalet: łatwość dysponowania największymi dziełami, największymi twórcami, łatwość obcowania ze sztuką największą. O tym wie każdy właściciel płyty, wszyscy jego przyjaciele, krewni i znajomi.

Tak — ale to nie wszystko. Bo kiedy dochodzi do spotkania z wielkim artystą, wspomnienie mikrofonu czy adaptacji szarzej i błędnie. Słowo „reprodukcja” znów nabiera właściwego sobie, pożytecznego a skromnego charakteru.

Raz jeszcze — i to w sposób szczególnie dobitny — przekonał mnie o tym Światosław Richter. Słuchałem jego koncertów przez radio, znam jego nagrania, kilka z nich zachowałem „na niewidziane” w pamięci jako wzory interpretacyjne. Ale o wielkości — rzeczywistej wielkości Richtera — przekonał mnie dopiero bezpośredni kontakt z jego sztuką. Możliwość wyłapywania najdrobniejszych subtelności — możliwość obserwowania wzruszeń całej sali — sprawdzania tego, co dąłoby się nazwać dra-

maturgią recitalu, narastaniem koncentracji i przeżyć zarówno koncertanta jak słuchacza. Swoistą lekcją koncertowania są w takich wypadkach nawet zjawiska drażniące: sprawa pokonywania przez muzyka słabości instrumentu, czy złośliwej akustyki sali.

Richter w swej sztuce odtwórczej osiąga często rangę mistrzostwa, które zasługuje na użycie przymiotnika „genialne”. Odwyzycailiśmy się od tego przymiotnika. Wiek XIX tak nim szafował, że w wieku XX zaczęło się go używać głównie we wspomnieniach i rozprawach profesorskich poświęconych realizmowi krytycznemu. Niewątpliwie oszczędność jest zjawiskiem godnym szacunku. W stosunku jednak do wydarzeń artystycznych tej wielkości co Richter, oszczędność określałaby byłaby albo skąpstwem, albo nieporozumieniem.

Richter pobudza czasem do polemiki. Chwilami jego Chopin zbyt jest śpiewny, za mało zaś dramatyczny. Jego koncepcja I części koncertu c-moll Beethovena wywołała ostrą dyskusję pomiędzy zwolennikami a przeciwnikami. Ale owe polemiki i spory ogniskują się w końcu w takich momentach, jak Preludia Chopina czy Mefisto-Walc Liszta, gdzie już spór musi się skończyć — pozostaje zaś tylko podziw. Gdzie sztuka pianisty staje się wzorem niedościgłej doskonałości.

Richter grał dotychczas Beethovena, Chopina i Liszta (w bisach znalazł się też cudownie migotliwy Ravel). Czekamy na dalsze recitale: Szumann, Szymanowski, Szostakowicz. Wtedy dopiero będzie można wielkiej sztuce pianisty oddać pełną sprawiedliwość.

J. B.

12 i 13-letnich malców ruszyła dalej — by ich sopran i alty uchwiliły, bym mógł odetchnąć głębokim spokojem starej wyspy — jednej z dwu wysp sekwańskich na których rozdził się Paryż, duma pięknej Francji.

Głosy jednak nie cichną. Mają jasność trąbek — rytm szalonej zabawy. W pewnej jednak chwili słyszę już tylko jeden z nich. A dopiero po minucie, czy dwu orientuję się, że ów gorący alt brzmi nieoczekiwaną, surową powagą. Inni milczą — co się stało? Nie znam takich zabaw dziecięcego wieku. Odwracam się — idę za głosem, jak za melodią fletu.

Oto są. Pod murem czarnym od starości stoi grupa chłopców. W okół nich przystają starsi. Wszyscy słuchają w milczeniu. Jeden z chłopców odczytuje tekst jakiegoś afisza — zdania brzmią przypominaniem tak ostrym i nagłym, że w pierwszym momencie niczego nie rozumiem, muszę głęboko odetchnąć.

12-letni paryżanin, który przerwał zabawę, czyta wśród ciszy wielkowej wyspy ostatnie zdania afisza:

„...wszelkie zaś udzielanie pomocy zbiedzim bandytom karane będzie śmiercią.

Podpisano: SS Brigadeführer. — 8 października 1941 roku”.

Na koniec, scisniony już głosem: — Reprodukacja z rozporządzeń hitlerowskiego okupanta...

Poznaję krój i kolor dwujęzycznego afisza. Pamiętam — czytano je na ulicach polskich miast ze łzami rozpacz i ze łzami wściekłości. Ten mały urzwał je po raz pierwszy w życiu. Przerwał zabawę by odczytać na głos obcy tekst. Kilku-nastu dorosłych świadków stoi — jak ja — w milczeniu. Spoglądamy na siebie.

Pod afiszem widać jeszcze jakiś koślawy napis — jedno zdanie nabazgrane kredą. Chłopak już się śmieje — odczytuje je tak, jakby krzyczał:

— La France ne veut pas de rearmement de 500 000 Nazis. To jest hasło nowej zabawy. Gło-

sy jasne jak trąbki wybuchają niepomiernym gwarem. Ktoś z dorosłych odchodził wzruszając ramionami, ktoś klepie chłopca po ramieniu — ktoś powtarza z naciskiem jego słowa.

Zabawa zaczyna się w nowym tempie, w przyspieszonym rytmie. Któryś z rozkrzyczanej grupy unosi rękę w górę. Widać, że ma p o m y s ł !

— Patrzcie! — woła.

Trzyma w dłoni kawalek kredy. Tamci rozumieją. Rzucają się za nim do nowego biegu — do nowej zabawy. Chłopak ma chudą twarz,

wielkie ciemne oczy. Skąd znam tę twarz?

Za chwilę na balustradzie Pont-Marie czytam nabazgrany podług tamtego wzoru, pierwszy i c h napis:

„La France ne veut pas de rearmement de 500.000 Nazis”.

Jasne, jak trąbki głosy milną, cichną. Ile de St. Louis znowu jest spokojna, zamyślona. Jakże pięknie wygina się łagodny łuk Quai d'Anjou.

Męczy mnie to tylko, skąd znam chłopca „z kredą”. Nie jestem pewien, ale... ale chyba tak! Ma on rysy swego rówieśnika — chude



Rysunki TOMASZA GLEBA

ARCHITEKTURA JEST DŁUGOWIECZNA

KRAINA ZOR

ANDRZEJ KOŹMIŃSKI

Z interesujących mnie problemów M. Czerwiński zaatakował architekturę nowych osiedli, projektowanych bez uwzględnienia otoczenia w jakim te osiedla mają powstać, a w szczególnym wypadku — sprawę budowy monumentalnych dzielnic śródmiejskich.

Słuszność tej krytyki jest chyba już spokojnie przystąpić do omówienia problemów, na które chciałbym zwrócić uwagę wszystkich, którzy interesują się toczącą się na łamach „Przeglądu” dyskusją.

1.

Z bogactwem zewnętrznych elewacji nowych monumentalnych dzielnic naszych miast (szczególnie Warszawy) często kontrastuje ubogość wnętrza mieszkalnych. Ciasne klatki schodowe, małe, ciemne, niewygodne łazienki, którym poskrapiono glazury i ściennych kafelków, czasem pokoje świecące gołymi deskami podłóg, nierzadko małe okna umieszczone tak, że powodują nieustawność pomieszczeń — oto, co można ujrzeć i w domach monumentalnej obudowy trasy N—S i w nowych, okazałych budynkach przy ul. Nowotki, czy al. Świerczewskiego. Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa pod względem wyposażenia mieszkań przedstawia się lepiej (są kafelki i parkiety), ale i tam w wielu budynkach rzucza się w oczy ów kontrast pomiędzy wystawnymi, okazałymi elewacjami, a skromnością mieszkań, ciasnotą klatek schodowych itp.

Istnieje w tym kontraście jakiś brak logiki; skoro dla oszczędności wprowadza się do budownictwa mieszkalnego standardy wyrażające się niewielką ilością metrów powierzchni użytkowej, dlaczego tak hojnie, tak nieszczędnie szafuje się drogimi materiałami i robocizną przy upiększaniu elewacji? (Koszt kamiennej elewacji wynosi około 30% kosztu całego budynku!)

Projektanci nowej Warszawy muszą mieć na względzie jej społeczny, reprezentacyjny charakter. W śródmieściu nie można przecież wznosić osiedli typu wuesemowskiego Żoliborza czy Mokotowa. A zatem w śródmieściu, które będzie przecie między innymi spełniało funkcje recepcyjne odbudowanej Warszawy, budynki po-

winny otrzymać architekturę monumentalną. Buduje się je przecież nie na 20, czy 30 lat, ale na całe wieki.

Dlaczego jednak mniej się myśli o przyszłych lokatorach, o całych pokoleniach przyszłych lokatorów, których stopa życiowa będzie z biegiem lat wzrastała i którzy będą mieli słuszną pretensję do architektów naszego pokolenia za swego rodzaju prymityw, jakim ci ich obdarowali? Wprawdzie na deskach podłóg da się zawsze ułożyć parkiety, a łazienki wyłożyć terrakotą, ale jak te ciasne łazienki, kiskowate korytarzyki, wąskie schody, małe okna poszerzać?

Obowiązujące standardy mieszkaniowe są skromne, ale nie to jest najgorsze. Największą trudność stanowi bowiem bezwzględny zakaz ich przekraczania nawet w takich, z punktu widzenia logiki umotywowanych sytuacjach, jakie występują w mieszkalnym budownictwie monumentalnym w budynkach posiadających załamania, występy, półkolisty otwory itp. W tych wypadkach — mówiąc najprościej — poszczególne fragmenty budynków zostają „pogrubiłone”, a przez to odległość środkowych pomieszczeń od ścian zewnętrznych zostaje zwiększona. Chcąc zatem w takim fragmencie zaprojektować dobrze oświetlone światłem dziennym, wygodne mieszkania, trzeba by powiększyć pokoje, ale to ze względu na przekroczenie standardów i struktury mieszkalnej jest najbezwzględniej zakazane. Zachodzi więc konieczność „upychania” w tych miejscach po kilka małych mieszkań (bo większych projektować nie wolno), powodując nadmierne ich zacieśnienie wyrażające się przede wszystkim stłoczeniem i zmniejszeniem łazienek, przedpokoi, klatek schodowych itp.

Aby wyjść z tego błędnego koła, prosta logika nasuwa dwa wnioski. Pierwszy będzie jeszcze jednym przyczynkiem do zerwania z zasadą nietwórczego przyswajania dawnych tradycji i stylów architektonicznych. Bo jeśli architektura nie podkreśla, nie uzewnętrznia istotnej treści mieszkalnego budownictwa socjalistycznego, jaką niewątpliwie są w pełni wygodne mieszkania, ale przeciwnie — zacieśnia je, stłacza, stanowi rodzaj kagańca dla wymogów nowoczesnej kultury mieszkalnej — to w żadnym wypadku nie może ona być architekturą realizmu socjalistycznego.

Drugi wniosek dotyczy biurokracji jaka zagnieździła się również

i w naszym budownictwie. Projektowanie monumentalnych, śródmiejskich budynków mieszkalnych natrafia na trudności w rozwiązywaniu niektórych bloków, utworzonych łamaną, półkolistą itp. linią zabudowy. I w tych szczególnych wypadkach mając na uwadze długowieczność wnoszonych budynków należy wprowadzić pewną elastyczność obowiązujących standardów i struktur mieszkalnych, pozwalając tym samym projektantom wygodnie rozplanowywać mieszkania. Ewentualne rekompensaty w ilości małych mieszkań, nie trudno będzie otrzymać w budownictwie o charakterze osiedlowym, w którym projektowanie większej ilości mieszkań małoizbowych nie stanowi już problemu. Ponadto, raczej należy zezwolić w uzasadnionych wypadkach na przekraczanie standardów i przeznaczyć w pierwszej fazie użytkowania większy pokój nawet i dla 4 osób (obecnie norma przeciętnie wynosi 2 osoby na izbę) niż przy sztywno utrzymanych standardach budować niewygodne mieszkania. Latwiej bowiem w przyszłości „rozluźnić” mieszkanie przeznaczone dla mniejszej rodziny, a większą przekwaterować do innego, niż to samo mieszkanie, kiedyś, za lat kilkadziesiąt przebudowywać.

2.

Elementarne zasady higieny zalecają człowiekowi zażywać jak najwięcej powietrza i słońca. Znaczną część swego czasu, z natury rzeczy, ludzie spędzają w mieszkaniach. Wynikałoby z tego wniosku, że nowoczesne mieszkania w miarę możliwości powinny być przystosowane do łatwego kontaktu zamieszkujących je ludzi z otwartą przestrzenią. A więc szerokie okna dające łatwy dostęp powietrza i słońca, a więc balkony lub loggie w każdym mieszkaniu.

Nasi architekci obawiają się stosowania w nowoprojektowanych budynkach wielkich, szerokich okien między innymi z powodu przyzwyczajenia niektórych mieszkańców nowych osiedli. Przyzwyczajenia te przejawiają się po pierwsze — w pewnej niechęci do dużych okien, drzwi balkonowych itp., gdyż te rzekomo zmniejszają przytulność mieszkania, i po drugie — w stosowaniu łózek zamiast tapczanów, amerykańkanek itp. Ponieważ łóżka najwygodniej ustawić w kątach pokoju, specjal-

nie ogranicza się szerokość okna, aby zagłębienie łóżek nie zachodziło na ramę okienną, co wyglądałoby „nieestetycznie”. Ten wzgląd nie wydaje się poważny, choćby z tego powodu, że raczej należy meble dostosowywać do mieszkań niż odwrotnie. Większość mieszkańców nowych lokali postępuje zresztą w ten sposób i chętnie nabywa CHPD-owskie tapczany i amerykańskie łóżka. Bo jakże może być mowa o estetycznym umeblowanym pokoju, w którym stoją dwa łóżka, pomijając już fakt, iż te nieco starożytne dziś meble są wygodne jedynie w nocy?

Przez zwolenników małych okien przemawia także wieloletnie przyzwyczajenie do mieszkań stałego typu. Przyzwyczajenia te znikną — powiedzmy — za dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat, lecz budynki wznoszone obecnie mają chyba służyć „nieco” dłużej?... Tego typu obiekty można więc porównać np. z niechęcią do czytania książek u ludzi, którzy ledwie poznali alfabet. Ale epoka, w którą już wkroczyliśmy, niesie z sobą oświatę i kulturę dla całego społeczeństwa, a z oświatą i kulturą zmienia się wymagania także i w dziedzinie kultury wnętrza mieszkalnego.

Tak więc jeśli nie obecni, to przyszli użytkownicy budowanych dziś mieszkań zaaprobuja taki kie-

runek w architekturze, który ułatwi jak największy dostęp powietrza i słońca do mieszkań. Co więcej: określenie „socjalistyczne budownictwo mieszkaniowe” bardziej odpowiadać będzie prawdzie wówczas, gdy zapewnienie maksimum wygody i zdrowotności mieszkań stanie się realnym ziszczeniem troski o człowieka.

Tedy też — jak sądzę — wleździe droga i do właściwych form architektonicznych nowowznoszonych budynków. Powinny one prostota i umiarem architektury odzwierciedlać i podkreślać to, co w sobie zawierają — w pełni wygodne mieszkania. Chodzi o to, aby przechodząc patrząc na nowy dom już z elewacji odczytać słoneczność, wygodę i piękno jego mieszkań oraz dobrobyt ludzi, którzy w nich mieszkają.

A przy tym architektura nowych domów, osiedli i miast powinna być wesola. Na negatywny stosunek społeczeństwa do obecnie wznoszonych budowli najbardziej wpływa ich ponurość i nieprzystępność. Budynki o stosunkowo małych oknach obłożone kamieniem, który w miarę upływu lat patynuje się coraz bardziej, są szare, smutne, przytłaczające. Wśród tych gmachów — twierdzą przechodzień — czuje się obco. Nic też dziwnego, że architektura ta nie wydaje mu się bliska, Naszą epokę

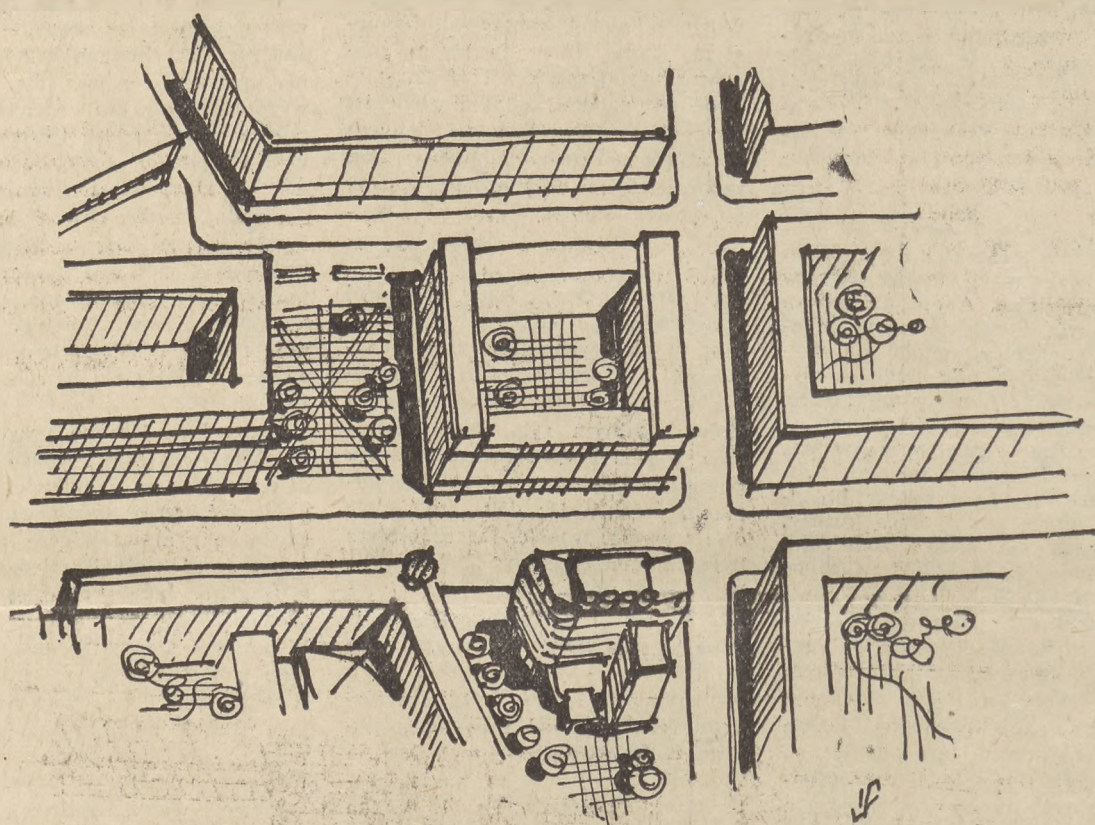
cechuje przecież pewne, spokojne i pogodne spojrzenie w przyszłość — czy zaś architektura współczesna nam o tym przypomina?

Epoki odzwierciedlają się w architekturze. Czas, aby nasza epoka, którą tak się szczeniemy, znalazła własne, a nie zapożyczone z baroków i renesansów środki wyrazu. Czy nie można ich przypadkiem odnaleźć już w samych założeniach socjalistycznego budownictwa? Chyba warto zastanowić się nad tym.

*

Osiągnięcia naszego budownictwa są wielkie i niewątpliwie. Tyśiące rodzin mieszka dziś w nowych mieszkaniach wyposażonych w światło elektryczne, bieżącą wodę, centralne ogrzewanie. Jest to ogromny krok naprzód w porównaniu z biedą-budownictwem przedwojennym, krok naprzód również w stosunku do przedwojennego budownictwa „czynszowego”. Ale to nie powinno przesłaniać istniejących braków. Jest lepiej, lecz to nie znaczy, że jest już dobrze. A ponadto należy spojrzeć w przyszłość, poza krąg najbliższych dwudziestu, czy trzydziestu lat. Domy dziś wznoszone stać będą dłużej, trzeba więc je projektować z myślą o przyszłości.

Na placach i ulicach Warszawy W okolicach CDT JÓZEF ŁOWIŃSKI



...nie można odwracać się od tego, co stanowi niewątpliwie akcent ulicy.

Rys. W. Strumillo

Omawia się zwykle i krytykuje dzieła już istniejące, co zwłaszcza w urbanistyce jest przystawową mustardą po obiedzie. Fragment miasta długo wśród zamętu budowy niedostrzegany pojawia się nagle, a utworzony przezeń krajobraz

miejski, jeżeli wypadkiem okazał się nie udany, nie łatwo i nie prędko będzie można zmienić. Daremne wówczas jest biadanie krytyki; choćby była najtrafniejsza, nie naprawi błędów. Ogromna siła oddziaływania zrealizowanego fragmentu urbanistycznego będzie przez długie lata kierowała gust odbiorców na fałszywe tory.

Spróbujmy zatem podyskutować o fragmencie śródmieścia Warszawy, który jeszcze nie powstał. Podpatrzmy już teraz to, co niebawem ujrzeć mamy w postaci rzeczywistego krajobrazu miasta. Taka krytyka ma szanse być twórczą w sposób najbardziej bezpośredni: może zaalarmować twórców w trakcie tworzenia, może zmobilizować nowy wysiłek koncepcyjny.

Na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Brackiej ma powstać plac. Trzy jego ściany są już gotowe: na wschodzie (od strony Wistły) elewacja Banku Inwestycyjnego, na północy fronton Orbisu (z globusem), na południu równoległa do Alei ściana budynku, odsunięta od linii zabudowy ulicy w kierunku placu Trzech Krzyży. Od zachodu ma zamknąć plac budynek, który zaprojektowano naprzeciwko Centralnego Domu Towarowego.

Placę stanowią ozdobę miasta. Stwarzają wolną, zorganizowaną przestrzeń, otwierając interesującą perspektywę, są reprezentacyjnymi salonami, które wyznaczają kompozycję miasta, tworzą zasadnicze jej akcenty. I oczywiście miejsce pod plac musi być trafnie wybrane.

Omawiany plac jest niewątpliwie potrzebny. Aleje Jerozolimskie to ulica bardzo ruchliwa, a niezbyt jak na główną arterię miasta szeroka. Poza tym wystarczy wyobrazić sobie Aleje obudowane z obu stron na sztywno od Nowego Świata do Marszałkowskiej, aby wyczuć, że taki „korytarz” byłby zbyt długi i nieznosząco monotony. Słuszna jest

więc tendencja do plastycznego wzbogacenia ulicy.

Lecz taki plac, jaki jest projektowany, nie spełni tego zadania. Stworzy on zaledwie lokalną wnękę, obok której będzie można przejść czy przejechać nie zauważając jej. Nie będzie ona miała żadnego charakterystycznego akcentu, żadnej dominującej kompozycyjnej.

Dlatego projektowane rozszerzenie nie powinno powstać naprzeciwko gmachu CDT przez wycofanie ścian od Brackiej do Kruczej.

Architektura CDT była wielokrotnie piętnowana, uznano ją za nieudaną, zdyskwalifikowano w dyskusji przyjętą metodę twórczą. Lecz poza swą formą budynek ten posiada inne, absolutnie obiektywne cechy, które urbanista musi uwzględnić. Jest to masowy ruch ludzi wokół gmachu, jego centralne położenie na odcinku od Nowego Świata do Marszałkowskiej, odrębność od pozostałej zabudowy jako budynku wydzielonego ze ściany ulicy, wolnostojące.

Dlatego wydaje się, że nie można przy tworzeniu placu odwracać się od tego, co już stanowi wyraźny i niewątpliwie akcent ulicy.

Wśród architektów pokutuje zdanie, że należy tak zabudować Aleje Jerozolimskie, aby możliwie schować, zakryć gmach CDT, gdyż jest to budynek nieudany. Takie stanowisko występuje nie tylko w tym wypadku.

Wobec ogromnej odpowiedzialności za przyszły wygląd i za sprawne, logiczne działanie organizmu miejskiego Warszawy, trzeba stwierdzić wyraźnie: nie wolno projektować zabudowy jednej z głównych arterii miejskich jako parawanu dla nieudanych budynków. Nawet niezbyt udany budynek we właściwym układzie przestrzennym spełni rolę pozytywną, natomiast najłepsza nawet architektura nie uratuje błędnej koncepcji przestrzeni miasta.

Trzeba mieć papier

JAN KNOTHE

Facet bez poświadczonej fotografii — nieważny; bez metryki — nieważny; bez paszportu — szkoda gadać! Jakby się czuł człowiek, który nagle wykrył, że on sam i jego najbliższe otoczenie to towarzysztwo nie podbudowane żadną dokumentacją. Dno nędzy. Śmierć cywilna.

Przyszło to na mnie i od tego czasu jestem niepocieszony. Stało się to dosyć zwyczajnie... A jak się stało — opowiem! Przyjechali zagranicznicy i kilku z nich oprowadzałem po Warszawie. Chcieli zwiedzać lokale poświęcone kulturze, wobec czego zaprowadziłem ich do kawiarni, gdzie się czyta gazety. Nie podobało się, bo powiedzieli, że nie chcą czytać. Zaproponowałem taką kawiarnię, gdzie się gra w szachy. Błagali, żeby im darować, bo nie cierpią gry w szachy, ale lubią kawiarnię i chcieliby porozmawiać. Westchnąwszy ciężko, umieszciliem ich w lokalu, gdzie się (jak mówi Putrament) pytluje. Narzeczcie byli zadowoleni. Wzięli mnie na spytaki. I to na temat, co do którego byłem przekonany (w wielkiej swojej zarozumiałości), że się w nim jako tako orientuję. Zaczęli pytać o Warszawę. W którym roku powstała. Zawałalem się — po czym podałem datę — 1073 r.n.e. Zapisali. Ale w którym roku powstała Warszawa? Kto ją tam wie! Jedno jest pewne, że nie w 1073 roku. To była pierwsza przykrość, bo okazało się, że nasza „ukochana stolica” to po prostu figura bez metryki. Potem padło znowu przykre pytanie. ...I herbem miasta była syrena? — Tu już bez namysłu zęgałem, że tak! Wiadomo, że żelazem, bo każde dziecko w wieku szkolnym wie, że herbem Warszawy było takie paskudztwo, które się nazywa — „tetramorfa”. Ze pa-

skudztwo — można też sprawdzić. Kiedy ja podmieniono na syrenę, do kładnie nie wiadomo. Żadna instytucja, której podfałszowano pieczęć!

...A kiedy Warszawę mianowano stolicą? Wyjaśniłem, że za Zygmunta III-go, tego, co to na kolumnie... A to też nieprawda, bo wcale nie mianowano stolicą. Po prostu król się sprowadził z manatkami, bo mu było bliżej do tego i owego, a chałupa w Krakowie spaliła się.

Na samym końcu goście poruszyli drażliwy temat. Chcieli kupić książkę o Warszawie — takie, w których jest dużo ładnych obrazków do oglądania. Zeby były i stare ryciny, i widoki, i przedwojenne, i najnowsze. Jednym słowem coś w guście monografii. Chwalili się, że mają takie z Pragi i innych miast, które zwiedzali. Co miałem odpowiedzieć? Oczywiście rzecz, powiedziałem, że to niemożliwe, bo chociaż mamy takich wydawnictw na

kopy, zainteresowanie w narodzie jest tak nieograniczone, że książki są rozchwytywane, zanim znajdą się w księgarniach. — Patrzyli na mnie z uszanowaniem, a mnie było wstyd, bo lubię kłamać wyłącznie w sposób dyskretny i poza tym dlatego, że wydawnictwo ilustrujących fizjognomię miasta po prostu nie ma. Bo jakże tak; w Niemczech czy Francji każda najpowszejsza miścina prowincjonalna ma swoją „turytystyczną” (że tak powiem) monografię ilustrowaną bardzo dobrymi fotografiami... A tu jakby nie było — Stolica! — i nic.

O książkach przedwojennych nie warto wspominać, bo były diabła warte i do tego od dawna ich nie ma. Po wojnie pokazały się kilka wydawnictw Naczelnej Rady Odbudowy, ale po pierwsze zostały dawno wyczerpane, a po drugie poziomem przypomniały raczej niedzielny dodatek ilustrowany gazetą codziennej, albo katalog fabryki mydła. Powie ktoś, że przecież jest

książka o Warszawie „Szwankowskiego. Znowu nie to, o co chodzi. Przede wszystkim książka jest wyczerpana, czyli jej nie ma. A poza tym to nie była monografia dla wszystkich, bo naród żąda przede wszystkim niewielkiej ilości tekstu, dużego asortymentu pięknych zdjęć i reprodukcji i dobrej i starannej „szaty” graficznej. Typograficzna i graficzna strona książki Szwankowskiego to osobny rozdział. Można by to zagadnienie zbyt powiedzieć: jak wyżej — to znaczy — jak niedzielny dodatek... (Czuje, że krzywdzę tu niedzielne dodatki). Krótko mówiąc — skandal. Nie ma i koniec.

Przyjeżdżają coraz liczniej goście z zagranicy. W przyszłym roku będzie w Warszawie młodzież z całego świata. Każdy cudzoziemiec chciałby... Zresztą, pal licho cudzoziemców. Każdy warszawiak też chce i ma prawo posiadać gustowny albumik o mieście, które trudem ręką własnymi idzie. A tu jak nie było — Stolica! — i nic.

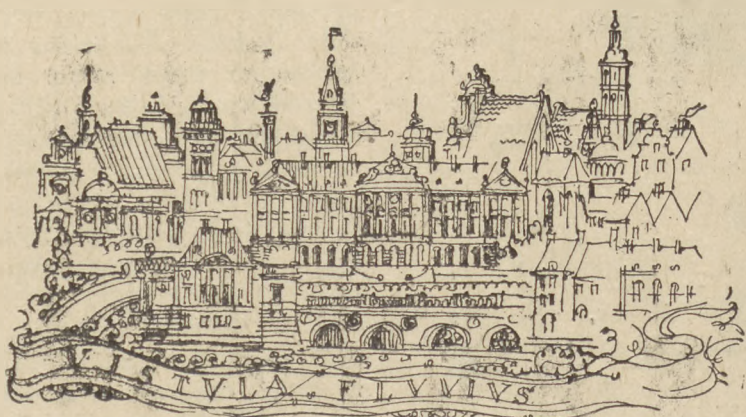
Od razu powiedziałem, że z tą Warszawą nie jest w porządku. Figura bez metryki, bez paszportu, bez poświadczonej fotografii i do tego ze fałszowaną pieczęcią. Ładny numer.

P. S. Napisałem: jak nie było tak nie ma. Nieprawda. Właśnie, że była! Nazywała się: „Warschau”. Pełna strona tytułowa brzmi:

Warschau
Herausgegeben von Dr. Grundman und Dr. Schellenberg
Mit Einem Beitrag

von
Prof. G. W. Buchner, München
Buchverlag Deutscher Osten
G.M.B.H. Krakau 1944.

— Ale tym się lepiej nie chwalić. Prawda?



„Trzeba mieć papier”

Z D Y S K U S S J I W Y B O R C Z E J

Ruiny dobrej woli w Chociwelu

MARIA KURECKA

1. Miasteczko małe, że czapka nakryjesz. Zniszczone wojną, a jednak malownicze, pełne zieleni kwiatów w małych ogródkach. Chociwel, oddalony o dwie zaledwie godziny jazdy koleją od Szczecina, liczy dziś dwa tysiące mieszkańców. Idąc od stacji zlocistą, brzoową aleją dostrzegamy na głównej ulicy białozielony szyl: „Sklep artykułów potrzeb kulturalnych Zw. Samopomocy Chłopskiej”. Wchodzimy do wnętrza. Książki, mydło, zabawki, wózki dziecięce, papierosy, drobna galanteria. Wybór duży, ruch niewielki, bo pora obiadu. Naprzeciw sklepu, za plotkiem, w oszklonej gablocie fotografie. Duże zdjęcie młodej pary, panna młoda w powiewnym welonie, obok kolorowy portret dziarskiego chłopaka w wojskowym mundurze i... ostrzegawcze zawiadomienie:

„Niekórzy ci, co posiadają aparaty fotograficzne, robią zdjęcia podszywając się, iż są moimi spólnikami. Oświadczam, iż żadnych spólników nie posiadam. To wroga plotka.

Gieraś — fotograf”.

Nieco dalej — gospoda, również pod zarządem ZSch. Z umieszczonych nad drzwiami głośnika płyną wesołe melodie. Na każdym stole gazety: Trybuna Ludu i Sztandar Młodych. Spis potraw na karcie opatrzone odpowiedzialnym podpisem kucharza: St. Brl. Czysto, uprzejma, szybka obsługa, starannie przyrządzone jedzenie. Na ścianie duży, ręcznie wykaligrafowany napis: „Zdjęcie nakrycia głowy w lokalu świadczy o kulturze człowieka”. Wzywaniu temu czynią zadość jedynie goście przy stolikach, którzy czekając na obiad przeglądają prasę. Natomiast trzech chłopaków w usmolonych waciakach stoi przed ladą w czapkach na głowach, spiesznie dopijając — którą to już? — „kolejkę”. W Chociwelu jest POM, jest PGR, jest dużo młodzieży.

— Połowa mieszkańców to młodzież — mówi kelnerka. — Często

tu zaglądają wieczorami, bo i co mają robić!

— A świetlicy nie ma?

Kelnerka kręci głową: — Ja tam nie wiem dokładnie. Niedawno tu przyjechałam. Ale słyszę, że ciągle o tym mówią. W zeszłym roku jeszcze zaczęto budować i nie skończono... Ściany tylko stoją. Można obejrzeć — to niedaleko stąd, zaraz na prawo...

Wychodzimy więc i korzystając z uzyskanej informacji idziemy oglądać ruiny dobrej woli w Chociwelu. A warto im się przyjrzeć — dokładnie i z bliska.

2. Wśród rozrzuconych cegieł wznoszą się cztery ściany obzernego budynku bez dachu. Schodki, na których można się dopatrzeć nawet śladu miejsc na kolumny, mające podierać fronton — zarosły trawą. Zieleniec i trawa rosną też bujnie we wnętrzu budynku. Moja towarzysząca wyciąga aparat fotograficzny. Dwie niezbrane osoby dokonujące w samo południe zdjęć na głównej ulicy małego miasteczka muszą zwrócić na siebie uwagę. Zaciekawieni gapie przystają to tu, to tam, aż wreszcie:

— Znowu fotografujecie tę Pompeję w Chociwelu? — zaczyna nas jakiś starszy jegomość z sumiastym wasem. Nim zdolałamy odpowiedzieć, głos zabiera nadchodzący właśnie niebieskooki blondyn, młody człowiek w szarym, nieprzemakalnym płaszczu:

— Mieszkam tu niedawno. Od czerwca dopiero — zastrzega. — Ale znam historię tej budowy. Nawet do Ministerstwa Kultury i Sztuki pisaliśmy w tej sprawie. Chodźcie, pokażę wam listy i opowieści, co wiem.

— I znowu nic z tego nie będzie. — Przyjeżdżali tu już przecież...

biegnie za nami głos pierwszego obserwatora. Lecz idziemy skwapliwie za niebieskookim młodzieńcem. Stanisław Bursiak jest, jak wyjaśnia w toku rozmowy, kierownikiem Zarządu Budynków Mieszkalnych i prowadzi nas do swego biura, na I piętrze MRN w Chociwelu. Tam, z opowiadań i akt składamy historię oglądanych przed chwilą ruin. Chociwelska „Pompeja” ma już bowiem swoją historię. Krótką i — jak dotąd — bardzo smutną.

Wiosną r. 1953 mieszkańcy Chociwela postanowili zbudować świetlicę. Młodzieży dużo — a zabawić się nie ma gdzie. Nudno. A z nudów szerzy się pijaństwo, chuligańskie wybryki. Trzeba temu przeciwdziałać. I zresztą — satysfakcja nie była jaka: własnymi rękami zbudować dla siebie, w swoim miasteczku, piękną, obszerną świetlicę. Cegieł dokoła nie brakowało, rąk chętnych również. Wybrano komitet organizacyjny i robota ruszyła. Bezinteresownie czyszczono i zwożono w wolnych chwilach cegły, bezinteresownie pomagano murarzom, którzy wyciągali ściany aż pod dach. Lecz na dach i wykończenie wnętrza zabrakło funduszy. Zorganizowano zabawę — jedną, drugą, lecz pożytku z tego było niewiele. Stolarze tylko częściowo ukończyli, ramy okienne gotowe, lecz jakże je wstawić, skoro nie ma dachu? Zapal chociwelan zaczął stygnąć, ochota wygasła, komitet też działał coraz słabiej. Nadeszła zima, ostra zima 1953/54, a mury stały nieosiągnięte dachem i — stoją tak aż do dnia dzisiejszego.

— A dlaczego nie zwróciście się do władz?

W odpowiedzi podsuwają nam pękaty segregator. Są listy. Dużo listów:

25.II. 1953 — listy do: Wydz. Gospodarki Komunalnej, Wydz. Finansowego, Wydz. Budowlanego, Wydz. Kultury przy Prezydium PRN w Stargardzie z prośbą o kredyty.

25.II. 1953 — do Wydz. Handlu WRN w Szczecinie — o przydział drzewa.

26.II. 1953 — do Referatu Organizacyjnego — o kredyty.

8.IX. 1953 — do Prez. PRN w Stargardzie, Wydz. Budowlanego — o deski.

8.IV. 1954 — uchwała MRN w Chociwelu, przesłana Prez. PRN w Stargardzie i WRN w Szczecinie — z prośbą o umożliwienie ukończenia budowy i o kredyty.

23.VI. 1954 — pismo do Ministerstwa Kultury i Sztuki w tej samej sprawie (L. dz. IV 3/3/5 — 54).

Pism dziesięć — odpowiedzi żadnej. Od najniższych instancji po najwyższe nikt się realnie nie zajął o dalsze losy świetlicy w Chociwelu, nikt nie pomyślał o tym, że biurokratyczna obojętność i lekceważący stosunek do tej „małej” sprawy powodują szkody znacznie większe niż zniszczenie murów, tak odczo wznoszonych przed rokiem.

— A prasa?

Tygodniowy dodatek do „Głosu Szczecińskiego” zamieścił wprawdzie 14.8.54 na ostatniej kolumnie krótką notatkę i zdjęcie „Pompej w Chociwelu”. Satyryczna notatka była jednak niecelna: nie wskazywała wyraźnie i bezpośrednio winnych tego niemiłosiernego zaniebalstwa. Nikt też się nią nie zainteresował z wyjątkiem... samych chociwelan, do dziś pieczołowicie przechowywujących ów wycinek z gazety. Stan faktyczny nie uległ żadnym zmianom.

3. Pisząc nowelę można by ostatnie spotkanie w Chociwelu nazwać historią niedobrej miłości. Gdy wychodzimy z bramy zabiegamy nam drogę barczysty człowiek o szerokiej, czerwonej twarzy.

— Kazimierz Mąka jestem — przedstawia się. — Założyciel komitetu do budowy świetlicy.

Znowu idziemy do gospody. Czasu już niewiele, więc Mąka krótko streszcza nam kłopoty chociwelskiej budowy. Ze słów jego wynika, że realna pomoc okazał dotychczas PGR. — Drzewo dawali, stolarze

można było robić, akurat teraz nie... jeszcze dać deski, ale wstrzymaliśmy się z powiatu, choć ja na miejscu omówiłem już sprawę z dyrektorem i księgowym. Jeśli nasz PGR ma nadwyżkę drzewa — musi oddać ją innemu PGR-owi. Com się namęczył, nabiegał, a tu nic z tego.

Zali się Kazimierz Mąka. Opowiada, ile trudu włożył w organizowanie zabaw, z których dochód przeznaczano na budowę. Jak to sam nosił stoly, krzesła, o wszystko musiał się troszczyć: o bufet i sprzątanie, o podłogę i orkiestrę. Mimochodem napomyka też o innych kłopotach: — jacy to ludzie w takim miasteczku — nie potrafia oenić jego starań!

Inspekcje przysyłał, sprawdzali co z tymi pieniędzmi za zabawy. Ja sam ksiąg nie prowadziłem, ale nauczyciel jeden z tutejszej szkoły spisywał wszystko, co do grosza. A mnie zarzucano — no, śmieszne! — że ja te pieniądze przepijam! Ot, jacy to ludzie! A świetlicę i tak doprowadzają do ukończenia, musi być, musi!

Niedobra miłość Kazimierza Mąki powstała z wielkiej ambicji osobistej, która co chwila ujawnia się w jego relacjach o własnych jedyne staraniach i wysiłkach: ja... z

mojej inicjatywy... ja sam... Trudno podczas krótkiego pobytu dojść sedna spraw spletanymi i zawiłymi. Nie znamy pozostałych członków komitetu. Nie znamy istotnych przyczyn wielu trudności, które uniemożliwiły jego dalszą działalność. Niemniej Kazimierz Mąka w pewnej mierze ma rację. Ze słów jego łatwo pojąć, że jednak bardzo mu leży na sercu sprawa ukończenia budowy, że egoistycznie, opacznie pojmując sens dzisiejszego życia i gospodarki, szczerze pragnie, aby Chociwel jak najszybciej doczekał dachu nad niszczącymi ścianami, które wzniosła dobra wola i służna, uparta ambicja mieszkańców małego miasteczka.

Pociąg odchodzi z kwadrans. Kazimierz Mąka usiłuje namówić nas jeszcze na obejrzenie okiennych ram leżących w magazynie. Wychodzi wraz z nami, zabiega nam drogę, wyprzedza, zatrzymuje się przy jakimś niewielkim budyneczku, mocuje z kluczem, zachęcając macha ręką... Niestety, czasu już nie starczy. Zegnamy więc inicjatora budowlanego komitetu, który spogląda za nami wzrokiem nieco rozczarowanym i nieufnie kręci głową.

4. Miasteczko małe, że czapka nakryjesz. A przecież leżące w Polsce, w tym samym kraju, gdzie konstytucja zapewnia obywatelom szeroki, twórczy udział w kształtowaniu kultury. Dość. Dużej o ruinach dobrej woli w Chociwelu pisać nie trzeba. Trzeba natomiast jak najszybciej okazać mieszkańcom małego miasteczka, że władza ludowa prawdziwie troszczy się o to, aby zapewnić im realizację tego prawa. Znajdą się kredyty i pomoc. Znajdzie się dach, podłoga i drzwi dla świetlicy w Chociwelu. W tym roku. Przed zimą jeszcze. Znajdą się — bo znaleźć się muszą. Bo inaczej być nie może. Bo władza ludowa — to znaczy pomoc i opieka dla wszystkiego, co twórcze, mądre i nowemu życiu służy,

K A N D Y D A C I N A R A D N Y C H

Gustaw Holoubek



drogą zdobył serca publiczności i zaufanie zespołu, by definiować, na czym polega jego „smak artystyczny”. Nadarzy się jeszcze po temu okazja.

Spotykam go i mówię: — Gustaw, co masz zamiar robić w Radzie Narodowej?

— Jeszcze takiej roli nie gralem — odpowiada. — A sek w tym, że tu na nic aktorstwo. Trzeba u nas wiele spraw zrewidować i poprawić.

— Jak to rozumiesz?

— Wręcz żywiołowo nie cierpię blagi i frazesów. To bowiem doprowadza do uspokojenia nieczytych sumień pewnych ludzi odpowiedzialnych za sprawę kultury. W rezultacie tego odbiorcy otrzymują namiastkę sztuki, są okamywani. Niekiedy sprzedaje im się, za ich pieniądze, rzecz nie wartą grosza. Będę walczył w Radzie z taką tandetą. W każdej dziedzinie naszego życia kulturalnego. Nasi ludzie pragną wielkiej, wzruszającej sztuki.

— Nie zawsze... — wtrącam.

— Otóż to. W jednym z zespołów amatorskich przed rokiem zmirła „słowno-muzyczna” miała sto przedstawień przy bitych kompletach. Nie przesadzajmy, mówiąc o zdrowych i dobrych gustach odbiorców. Niekórzy z nich potrafią plakać słysząc „balladę” o pannie Franciszce, która otrula się z miłości „kiszka ze strychninami”.

— To znaczy stoisz na stanowisku, że artyści z prawdziwego zdarzenia muszą narzucać swój gust i swój smak publiczności.

— Niewątpliwie. Systematycznie, konsekwentnie. I tu nie ma miejsca na żadne ustępstwo. Kompromis w sztuce zawsze prowadzi do następnego, a potem do klęski.

— Z tego, co mówisz, można się zorientować, czego pragniesz i dlaczego właśnie ciebie wybrano kandydatem do Rady. Co zamysłasz konkretnie?

— Powiem ci: żeby nasz teatr aniżaden inny teatr na Śląsku nie otrzymywał sztandaru przechodniego i nagród za wykonanie planu. Chyba, że ustanowi się „Nagrodę Głównych Księgowych”. Nawet jarmarczny cyrk potrafi wykonać plan. To, owszem, trzeba wykonać, ale to sprawa wtórna. Wysoki poziom formalny, prawda, szczerść, budzenie wzruszenia, rozwój artystyczny zespołu i doskonałość smaku widowni — oto, za co należy się szandary i odznaczenia. Oto, co trzeba planować.

— Czy uważasz — mówię, by więcej z Holoubką wydobyc — że mamy ku temu warunki? Przyznam się, że gdy jeżdżę na ogólnopolskie zjazdy teatralne chciałbym parsknąć śmiechem, kiedy słyszę jak jakiś urzędowy abstrakcjonista nawołuje nas do śmiałości, do ambicji

nych poszukiwań, do stworzenia odrębnych teatrów, rewelacyjnych i rewolucyjnych...

— Właśnie — podjął Holoubek — przy pomocy Rady chciałbym położyć kres na naszym terenie temu rozdziałowi, jaki istnieje między danymi nam warunkami, a hasłami. Te hasła zaczynają brzmieć drwiąco, cynicznie. I to jest wstrętne. Jeśli w Stalinogrodzie muszą zwolnić dobrego aktora do Teatru Satyryków, bo tam dają mu gażę o pięćset złotych wyższą, to wybac, nie widzę tu uprzywilejowania dla naszej muzy. A władze wojewódzkie jeszcze popierają to przejęcie. To stwarza niebezpieczny precedens. Albo mieszkania. Opera dostaje w przydziale dwadzieścia. a Teatr dwa. W Bielsku, w Częstochowie — tragiczna sytuacja mie-

szkaniowa, aktorzy uciekają ze Śląska, bo nie mają gdzie mieszkać. — Trzeba preforsować uchwałę o stałym przydziale mieszkań dla ludzi sztuki i działaczy kulturalnych...

— Oczywiście, między innymi i to. W ogóle trzeba uczyć szacunku dla twórców i ich powołania, tak jak my, aktorzy, szanujemy górników i hutników. Kiedy im opowiadam o naszych trudnościach, nie mogą tego pojąć... No, bywają. Lecę na próbę, trzeci akt „Nory”. A w Radzie, bądź spokojny, damy sobie radę.

Chwyta mnie nagle za ramię. — Ty, słuchaj, to prywatna rozmowa, czy jakieś wywiady?

— Skądże znowu! — odpowiadam wymijająco.

ANDRZEJ WYDRZYŃSKI

Wanda Jakubińska



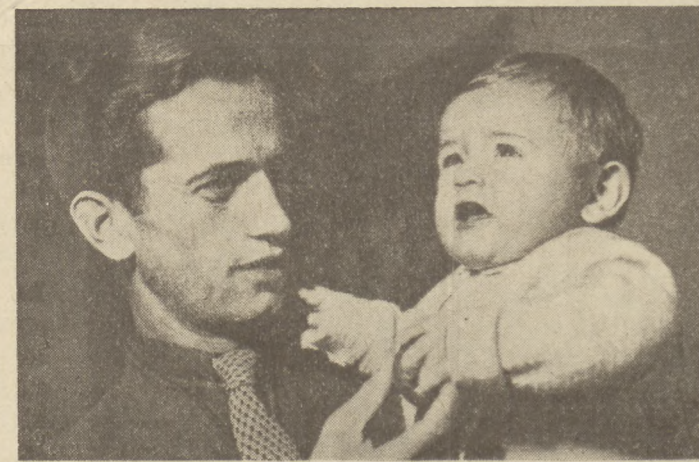
Jagmy w dramacie Jana Kasprowicza „Świat się kończy” — stała się jej poważnym osiągnięciem. Można bez obawy popadnięcia w przesadę powiedzieć, że jest to dokonanie aktorskie, o którym mówi się szeroko, nie tylko w środowiskach artystycznych. Nie jest to przypadek dlatego, że — jak powiedział poeta — dzieło powstaje w miarę życia i na jego miarę. Jakubińska jest doświadczonego człowiekiem i dlatego staje się doświadczonego artystą. Nie można tutaj oddzielić życia od sztuki.

Bierze ona czynny udział w życiu artystycznym i społecznym. Na terenie teatru prowadzi brygadę artystyczną, których zadaniem — dawać występy w zakładach pracy, wygłasza pogadanki na temat wybranych zagadnień systemu Stanislawskiego, jest czynnym członkiem TPPR.

Sądzi, że taki aktor, który nie stroni od życia, nie zamyka się w egzemplarzu swej roli, nie ucieka każdej wolnej chwili do kawiarni, lecz widzi dla siebie i dla swej pracy bogaty obszar społeczny — że tylko taki artysta jest w stanie pomnożyć swoją sztukę i pomóc nią człowiekowi, bo ten cel ostateczny sztuce przyswieca.

J. K.

Jestem kandydatem



Nie ma powodu wstydić się tego. Gdyby kilka miesięcy temu zaproponowano mi wejście w skład Rady Miejskiej — odzignalby się bez zastanowienia od tego szalonego pomysłu. Do Rady? Po co? Czas na próżno tracić?

Przyznajmy, nie cieszyły się rady (im rada niższego stopnia tym gorzej dla niej) naszymi uwagami, przyznajmy i to, że walcie przyczyniliśmy się do tego my, dziennikarze, nasze gazety. Sekretariat redakcji znał na codzień przeważnie trzy skróty: GRN, PRN, MRN. To był najpowszechniej używany alfabet znajomości problematyki rad. I to z zasady w odniesieniu do sterty śmieci tarasującej jakieś przejęcie, do dziury w bruku czy zbyt jaskrawo pomalowanej fasady sklepu. Termin ten powtarzał się niekiedy w licznych towarzystwach innych, recytowanych jednym tchem skrótów w zakończeniach wstępniaków o złym przebiegu skupu zboża czy akcji siewnej, w sprawozdaniach z akademii i... I na tym koniec. Takie pojęcia jak sesja, komisja, prezydium, wydział, takie załodnienia jak radzenie, więc z ludnością, wykonywanie uchwał rady — rzadko mieściły się w planach pracy redakcji, jeszcze rzadziej — na łamach gazet.

Rady zepchnięte w drobniutkie notatki o drobniałościach sprawach, w pospieszną, ogólnikową krytykę — wegetowały. Trzeba było dzie-

ściu lat, aby zaczęto pisać o nich z szacunkiem, aby rozróżniono sesję od prezydium, radę od urzędnika rady, wydział od komisji. Aby rozszyfrowano skrót GRN czy PRN i zrozumiano wreszcie, że jest to taka sama władza jak WRN. Władza ludowa.

Dziś jestem kandydatem na radnego Miejskiej Rady Narodowej w Szczecinie. I uwalę nie obawiam się o próżną stratę czasu. Niepokoi mnie coś innego.

Zebranie załogi Szczecińskich Zakładów Włókn Sztucznych, które wysunęło moją kandydaturę, nauczyło mnie o wiele więcej niż dzieśniej najbardziej uczonych wstępniaków. Dla załogi SZWS bowiem Miejska Rada Narodowa jest drogą, którą trzeba naprawić, autobusem, który by mógł robotnika odwieźć wieczorem z teatru na dalekie przedmieście, czajnikiem, którego nie można w Szczecinie kupić, kinem, którego brak tak bardzo odczuwają, nowym domem mieszkalnym, polskim Szczecinem... 500 robotnic i robotników podłożyło pod pojcie „rada” swoją najbliższą, często drobną ale zawsze ważną sprawę.

Odczuwam niepokój. Czy sprostać swoim obowiązkom? Czy prząka o niebieskich oczach kupi wreszcie bez trudu czajnik, czy siwy majster z przedalni będzie mógł wybrać się na „Wujaska Wanie” do dalekiego śródmieścia?

Chyba sprostać. Zebranie załogi nauczyło mnie coś więcej. Te 500 robotnic i robotników to nie tylko 500 konkretnych spraw do załatwienia. To także 500 moich sprzymierzeńców, o których jestem silniejszy, 500 moich współradnych, którzy przyrzekli popierać moją pracę swoim wysiłkiem w fabryce.

Jeżeli ma się takie zapieczę — nie trzeba, myślę, obawiać się trudności

JÓZEF BARAN
dziennikarz — Szczecin

5-B-15793

MATISSE

(1869 — 1954)



Autoportret (1945)



Murzynka (1946)



Portret Aragona (1942)



Martwa natura (1941)

Florent Fels autor znanej książki „Propos d'artiste” zamieścił na wstępie rozdziału poświęconego Matisse'owi następujące motto, zaczerpnięte z polemiki Georges Duthuita z Julianem Benda: „W róży zamknięty jest czar, siła ukryta. Pan Benda ją neguje, ale dziewczyna, która przypina różę do swego stanika — wie o niej”.

Kontynuując aluzję nie wahałbym się porównać stanowiska autora „Zdrady Klerków” ze stanowiskiem naszej prasy artystycznej i literackiej, która od dłuższego czasu rezygnuje z relacjonowania spraw nie będących w ścisłym związku z toczącymi się na własnym podwórku dyskusjami.

Jeżeli wspomnienie o Matisse zaczynać od tej niezwyklej dygresji to tylko dlatego, że znów dopiero nekrolog artysty przypomina nam o jego dziele. A dzieło Matisse'a zrewolucjonizowało przecież malarstwo współczesne.

Henri Matisse urodzony w roku 1869 w Cateau, małym miasteczku położonym w departamencie Nord, po studiach prawniczych i krótkim okresie praktyki u notariusza przybywa do Paryża. Od wczesnej młodości interesując się malarstwem wstępuje do Akademii Sztuk Pięknych, gdzie zostaje uczniem Gustawa Moreau, o którym Degas mawiał, że „potrafił przytwierdzić bogów na swój łańcuszek od zegarka”. W pracowni Moreau spotyka Marqueta i Rouaulta; wraz z Derainem i Vlaminckiem tworzą oni grupę, której krytyk Vauxcelles, na Salonie Jesiennym 1905 roku, nadał miano „Fauves” (dzikich). Od tego czasu datuje się niezwykle zainteresowanie krytyki twórczością Matisse'a.

Pierwsze jego obrazy malowane w ciemnej gamie ustępują powoli nowym, pełnym światła i bogactwa kolorów. Nie bez wpływu na twórczość artysty pozostały liczne podróże m. in. do Hiszpanii, Włoch, Niemiec, Maroka, wysp Oceanii. Fetysze polinezyjskie, rzeźby murzyńskie i kolumbijskie, które dały początek kubizmowi, na Matisse'a wywarły wpływ minimalny. Interesowało go raczej bogactwo zestawień kolorystycznych, barwy tkanin dekoracyjnych, dywanów, ornamentacji. W sztuce Matisse'a nie ma nic z irracjonalizmu rozwijającego się wtedy tak bujnie we Francji.

W obrazach artysty przepełnionych zawsze liryzmem, znaleźć można światło południa Francji, kolorystykę zalanej słońcem, nasyconej ciemną zielenią liści filodendronów, srebrną oliwek, żółtymi płamami cytryn, czerwienią róż i geranium, błękitem anemonów.

Plótka Matisse'a przepełniona radosną atmosferą południa, pełne zapachów kwiatów i nadmorskiego

skiego wiatru, czy też drgające nagrzonym powietrzem wnętrza o uchylonych storach, przekazują atmosferę kraju, który tak ukochał.

Przedmioty, które obrazuje artysta są dlań przeważnie pretekstem do tworzenia kolorowych symfonii i subtelnych zestawień. Płaszczyzna obrazu staje się przede wszystkim polem dla gry kolorów. Postacie ludzkie są motywem dekoracyjnym — nic je nie zajmuje, nie burzy ich spokój. Postaci te przepełnia jednak radość życia, które zrodziło się dzięki bogactwu otoczenia wyczarowanego przez artystę. Wszystkie te elementy znajdują czar w samych sobie, w wyborze swych kolorystycznych harmonii i modulacji.

Zadanie swej sztuki sprecyzował sam artysta w następujących słowach: „Zajmuję się tworzeniem sztuki, która była by dla widza, niezależnie od jego warunków życia, rodzajem wypoczynku umysłowego, ukojeniem, przyjemną pewnością, którą dają pokój i cisza.”

Osiągnięcia w malarstwie idą w parze z wielkimi zdobyczami jakże prostego a przy tym niezawodnego rysunku Matisse'a. Nigdy nie rozstając się z modelem obrazy swe poprzedzał licznymi studiami z natury.

Wśród ogromnej liczby pozostawionych przez malarza obrazów i rysunków szczególnie charakterystyczne i wymowne dla jego założeń twórczych są Radość życia (1905), Portret Pani Matisse (1914), Lekcja muzyki (1916), Dziewczęta w kąpeli (1917), Murkanki (1917), Kobieta z woalką (1927), Taniec (1933), oraz ilustracje



cje rysunkowe do Reverdy'ego, Mallarme, Baudelaire'a i Ronsarda.

Nie jest przypadkiem, że Matisse, który tak kochał życie z uporem manifestując piękno otaczającego świata, brał czynny udział w ruchu obrońców pokoju.

Dzieło jego wnosząc nowe zdobycze do sztuki malowania wyrasta z głębokiego przywiązania do narodowych tradycji. Świadczyć o miłości własnego kraju stanowi ona trwała pozycja w historii malarstwa francuskiego

RYSZARD STANISŁAWSKI

Mała, Podręczna Antologia Rodzimej lipy

JERZY PUTRAMENT



Jeśli jest jakiś charakter narodowy — a myślę, że coś takiego istnieje w wyniku wielowiekowego oddziaływania środowiska geograficznego, czynników społecznych, długiego ciągu historycznych wydarzeń — to jedną z cech najbardziej charakterystycznych dla naszego narodu jest niezwykle wprost uczucie na tzw. lipę.

O wiele pogodniej znośmy dziejowe burze, cyklony, trzęsienia ziemi niż panoszenie się wśród nas tego milego skądinąd drzewa.

Mniejsza, skąd się to bierze. Opiszmy najczęstsze u nas jego odmiany.

LIPA POSPOLITA. Przez czas jakiś każda współczesna sztuka polska aż do swej prapremiery lansowana była w kuluarach naszej kultury, jako „zwrot”, „przełom”, „arcydzieło”. Pomijając już zwykłą odradę, którą każde kłamstwo zazwyczaj w nas budzi — zwróćcie uwagę na nieoczekiwane skutki tej metody. Niby miała ona pomagać naszej dramaturgii, „urabiając” opinię. Naprawdę zaś grzebała te nasze sztuki jedną po drugiej. Nazwij małego człowieka małym człowiekiem, a ludzie powiedzą: mały człowiek. Nazwij małego człowieka olbrzymem, a ludzie powiedzą: karzeł.

W stosunku do sztuk polskich ten rodzaj lipy zwolna zanika. Wobec jednak dzieł naszych przyjaciół zagranicznych taka najsprytniejsza metoda ich kładzenia działa często dotąd.

Wielu takiej lipy krzewi się w sporcie: np. kiedy się wybiera przeciwników zagranicznych tak słabych, żeby z góry zapewnić efektowne zwycięstwo naszym barwom narodowym. Przypomnijcie sobie lekkoatletyczną lipę polsko-belgijską, albo zeszlorańczą pływacką lipę polsko-fińską. Straszliwość tej metody polega zresztą m. in. na tym, że każąc walczyć ze słabym przeciwnikiem demobilizujemy naszych zawodników i coraz częściej ten „lipowy” przecięt „konkurent zaczyna nas gromić. Patrz nasze mecze piłkarskie z NRD.

LIPA PRZEZ POMIĄNIĘ. Buduje się u nas wielki stadion między Pragą i Saską Kępą. Każdy miłośnik sportu zachwycę się tą budową, jest szczęśliwy, że teraz można będzie urządzić u nas imprezy sportowe dla kilkudziesięciu tysięcy widzów.

Ale stadion ten — sądząc z makiet — nie będzie wcale idealnym stadionem. Będzie on miał na pewno dwie wady. Po pierwsze górne rzędy będą niestęchające oddalone od boiska, widzialność z nich będzie wprawdzie dobra, ale dla ludzi orlego wzroku. Po drugie — nie będzie on kryty.

Pierwsza wada wynika z samego typu budowy: ziemnego, a nie żelbetonowego. Miejsce bowiem nie jest takie, żeby tam wznosić żelbetonową „wanne”, o brzegach o wiele bardziej stromych, która zapewni np. tak idealną widzialność olimpijskiemu stadionowi w Helsinkach.

Zresztą, żelbeton dużo kosztuje. Nie stać nas jeszcze na taki luksus. Czy to hańba wprost o tym powiedzieć? Czy mamy się wstydzć tego, że zniszczył nas tak okrutnie hitlerowski okupant i najpierw budować musimy fabryki i domy mieszkalne?

Czy nie jest obraźliwa dezynwoltura, z którą umawia się nam, że kryte stadiony rzekomo są „nie-modne”? Że na deszcz w takich wypadkach wystarczy parasol?

LIPA NATURALISTYCZNA. To znaczy wyolbrzymiająca rzeczy niestotne. Np. w replice jednego z arcydzieł na artykuł Mitznera.

Mitzner — świetny publicysta, polemista, felietonista i tak dalej — w artykule tym, krytykując ulicę Kruczą, jak przystało na artystę zdobył się na efektowny pomysł i za główną wadę Kruczej uznał „cytadelowy” charakter tych wszystkich ministerstw, odgradzających się murem, pozbawionym dużych, z dala widocznych wejść — od szarego obywatela.

Jak się z tego ucieszył architekt! Z jakim pospiechem i jaką rewerencją zapewniał zaczął Mitznera, że w ostatecznej fazie Krucza będzie miała tych wejść z kolumnami, portykami itd. do diabła i troszkę.

Mitznerowi wolno było — wśród innych zarzutów pod adresem Kruczej — wymienić i ten. Chcielibyśmy jednak od twórców tej DU otrzymać odpowiedź na sprawę naprawdę poważną.

Ministerstwa są potrzebne. Słuszne jest rzeczą, żeby miały gmachy wygodne, ładne, okazałe. Gmachy, które by były o d o b a całej dzielnicy, jej naczelnymi akcentami architektonicznymi. Dobry deser jest ozdoba obiadu.

Ale jak można było budować całą dzielnicę, złożoną z samych ozdób, samych deserów? Te kupy białego kremu są nie do strawienia nawet z kolumnami, z portykami, attykami, bramami triumfalnymi.

O tym kosztownym śnie cukiernika milczy jednak architekt. Uczciwiej byłoby rzec: sknoćliśmy, trudno, więcej się to nie powtórzy...

LIPA PRZEZ ODWRACANIE AKCENTÓW. Na przykład zamknięcie sprawy „wykopek” w pewnej popularnej gazecie.

Napisano tam, że za dużo hałasujemy o te wykopyki. Ze były one konieczne i że co najwyżej władze za to odpowiedzialnie zawiniły „pewnym” brakiem koordynacji.

Ten „pewien brak” to np. zdzieranie asfaltu w połowie placu Konstytucji — w dwa lata po uroczystym otwarciu tego placu.

Subtelna, co się zowie „cicha” lipa. Bardzo trująca.

Wynikałoby z niej, że mieszkańcy Warszawy protestujący przeciw niestęchającemu niedołęstwu paru urzędników są warchołami, że zaś niedołęgi, przysparzający skarb państwa o milionowe straty — reprezentują naszą rację stanu.

Czy nie słuszniej jest powiedzieć: braki koordynacji bardzo duże, hałas przeciwwykopkowy tu i ówdzie może przesadny?

Korzenie takiej lipy tkwią w przekonaniu, że to zawsze urząd, a nie najszerze masy naszych obywateli strzeże interesu państwa. Nie nasze to przekonanie. Nasze państwo jest dla ludu, nie przeciw ludowi. I w każdej takiej sprawie należy najpierw przyjrzeć się: a może ten szary mieszkaniec ma rację, że przeklina?

LIPA NEGATYWNA. Nie sądzicie, że lipa zawsze lakieruje, zawsze upiększa, zawsze zakłamuje do d a t n i o. Mamy coraz częściej efektowne przykłady czegoś wprost przeciwnego.

Krytyka nasza — jak wszystko, co ludzkie — nie wolna jest od błędów. Czasem rozdyma kiepski film, kiepską książkę, ze sprytnie, pustej sztuczki robi narodowe arcydzieło.

Co uczciwi z takich krytyków czują wyrzuty sumienia z racji uprawiania takiego procederu. I



Rys. J. Zaruba

zdaje im się, że jeśli niestęcznie przechwalili jedno — to szala sprawiedliwości wyrówna się, gdy tym silniej uderzą w co innego.

Sędzia piłkarski, który tak rozumuje — doprowadza zazwyczaj widownię do przelewu krwi. Omylił się, dał niestęcznie wolny przeciw jednej drużynie. Wygwiżdżają go wtedy jej zwolennicy. Ale gdy da „wyrównania” rachunku daje niestęcznie wolny przeciw drugiej — gwizdają wszyscy. Co gorzej, rzucą ją butelkami.

Mamy parę wypadków czegoś podobnego w życiu kulturalnym. Niesamowity wrzask przeciw „Baśce” Stefczyka z pewnością w dużej mierze wynikał z nieczystego sumienia tych, którzy przedtem zachwalali rzeczy także niedobre. „Baśka” jest sztuką słabą. Ale przecież ma ona przynajmniej jedną dobrą scenę. Ze akurat na niej skupiła się furia chwalców czasem tylko płaskiej poprawności — świadczy skądinąd o chęci zdobycia sobie tytułu „odważnego” krytyka. Niestety, odwagi są rozmaite. Znam takich desperatów, którzy ani na sekundę nie zawahają się atakować sam na sam nawet dygnitarza już na drugi dzień po odejściu jego ze stanowiska.

Ważyk ze swoim kiepskim filmem pokutuje dziś za bardzo wiele rzeczy M. in. za wszystkie przechwalone przegrane nasze kicze filmowe.

Cóż za frajda — myśli ten i ów z lipiarzy spopolitych. Tyle mi zarzucano, że kadzę, że się wazelinie, podlizuję, merdam ogonem. Pokażę im teraz na co mnie stać. Zjadę bezlitośnie. Z góry na dół. Samego Ważyka.

Biłak. Lipa — to nie tylko wazelina. Lipa — to wszelkie kłamstwo, wszelka niesprawiedliwość, wszelkie oszukaństwo. Pyskując bez miary dzisiaj na Ważyka nie odrabiasz swych dawnych niesprawiedliwości, doręczasz tylko nową.

Lipa rośnie z tchórzostwa, karietowiczostwa, z łapczywości, z głupoty. Najgorsza z jej pobudek — to niewiara w siłę przekonującej naszej ideologii i niewiara we własny naród, w siłę tego narodu, w jego poczucie słuszności. Przekonanie, że przestraszy się on trudności, których nam nie zabraknie jeszcze. Ze trzeba przestaniac mu oczy, inaczej za nami nie pójdzie. Te obrzydliwość trzeba jak najszybciej wyrąbać.